Nr. 35. Warszawa, dnia 15 (27) Sierpnia 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie.........	rs. 3 kop. 60	rocznie.........	rs. 5
półrocznie......	rs. 1 „ 80	półrocznie......	„ 2 kop. 50
kwartalnie......	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie.....	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

W KWESTYI ZDROWIA.

Poruszamy kwestyją będącą na czasie. Epidemija cholery grasująca obecnie, szczególniej między biedną klasą, epidemija, która codziennie sprząta z tego świata setki ofiar, nastręczyła nam kilka myśli i uwag, które podać do wiadomości ogółu uważamy za obowiązek. Kto nie widział zbliska tej plagi trapiącej ciężko społeczność, kto, że tak powiemy, nie dotknął się chłodnej lodowatej dłoni konającego nędzarza, ten nie wie jakie nieraz krwawe dramaty rozgrywają się na barłogach suteren lub poddasza, ten nie wie, ilu nieszczęsnych wije się w boleściach na łożu szpitalnym.

Z wesołego wyglądu miasta, z ogrodów zapełnianych publicznością wystrojoną w barwiste szaty—nawet z kart z czarną obwódką porozlepianych na rogach ulic nie poznasz że niejedna rodzina opłakuje zgon najdroższych istot, że niejedno dziecię kwili w kołysce daremnie wyciągając rączęta do matki... a matka dawno rzucona w głęboki dół cmentarny. Rozpacz i bóle nędzy zagłusza turkot powozów, cichną one śród gwaru życia... a śmierć spokojnie poostrza kosę, gotując się na nowe zapasy. W szeregach miastowego proletaryjatu, coraz gęściejsze luki—rąk do pracy ubywa—a ręce te, jakże nam dzisiaj potrzebne!

Smutno! ale czyż nie stokroć smutniej i boleśniej wyznać, że ci ludzie po największej części sami temu winni, iż chorują i umierają. Nie będziemy tutaj rozbierać przyczyn składających się na wybuch epidemii, nie będziemy dociekać jej istoty, ale z faktów dostarczonych nam przez kilku lekarzy ordynujących codziennie w szpitalu, przychodzimy do wniosku, że błędy dyjetetyczne są najczęstszym czynnikiem wywołującym chorobliwe przypadłości.

Prawie każden chory przybywający do szpitala, skoro go lekarz dyżurny zapyta co jadł, odpowiada: „kwaszone lub surowe ogórki, gruszki, jabłka lub inne niestrawne rzeczy i surowizny“.

Faktem jest, że w czasie epidemii wszyscy usposobieni są do zachorowania, że potrzeba tylko najmniejszego powodu, aby się symptomy chorobne pojawiły. Niedyspozycyje żołądkowe, niestrawność, przemijające biegunki, odbijanie, nudności i tak dalej, są niejako zwiastunami groźniejszych przypadłości, które wystąpią jeżeli im się wcześnie nie zapobiegnie, lub co gorzej popełnia błędy dyjetetyczne. Pomimo przestróg i usilnych zaleceń, pomimo przepisów higijenicznych ogłaszanych w czasopismach, robotnik swoją drogą spożywa rzeczy najszkodliwsze, mówiąc, „jak Bóg da—to i bez tego wszystkiego człowiek zdrów będzie“. Ta zbytnia ufność w miłosierdzie i wszechmocność najsmutniejsze powoduje rezultaty.

Drugą fatalną wadą jest opieszałość w zasięganiu lekarskiej pomocy. Daleko łatwiej dać sobie radę w początkach przypadłości, aniżeli później skoro się one rozwiną—i nastąpi okres tak zwany *martwiczy*, gdzie wszelkie środki prawie zawsze pozostają bez skutku.

Po największej części połowa chorych przybywa już w tak opłakanym stanie do szpitala—i ratunek wszelki staje się niemożebnym.

Nie w mocy lekarzy zapobiegać złemu. Tak zwani lekarze oddziałowi, których obowiązkiem było przestrzegać czystości, dezinfekcyi oraz baczyć gdzie kto zachoruje, aby mu pomoc udzielić lub wysłać do szpitala, w tym roku nie są powołani do pełnienia obowiązków. Mniejsza jednak o oddziały, nie wiemy o ile one w skutkach odpowiadały swemu założeniu i wpływały na zmniejszenie postępu epidemii, inną rzecz mamy na myśli. Proponujemy na czas epidemii „wydawanie tanich objadów dla klasy robotniczej“.

Jakkolwiek kuchnie tanie działają bardzo pożytecznie i wydają objadów dosyć, jednak ta liczba w obecnym czasie jest, o ile nam się zdaje, niewystarczającą.

ŚLADY ŻYCIA.

XXXV.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Początek bieżącego roku szkolnego niemałym był strapieniem dla tych wszystkich co mają synów do kształcenia. W zakładach naukowych rządowych ograniczono liczbę do 40 słuchaczów w klasie wtedy, kiedy trzy razy co najmniej tylu było do każdej klasy kandydatów. Pocieszaliśmy się, że kilka zapowiedzianych progimnazyjów prywatnych, jako tako zaradzi złemu, dziś niestety widzimy, że radość była trochę przedwczesna. Progimnazyja prywatne mogą być tylko dla szczęśliwców świata tego dostępne. Wpisowe za naukę oznaczono na 50 rs. rocznie, a w jednym p. Pankiewicza opłatę na 18 rs. miesięcznie oznaczono, co na rok 180 r. sr. wynosi. Takie *wpisowe* nie każda kieszeń wytrzyma, a tymczasem ci właśnie co niewiele mają są i najliczniejsi i najchętniejsi w posyłaniu dzieci do szkoły. Bogaci w najgorszym razie obejdą się bez progimnazyjów prywatnych, boć za pieniądze można mieć i do domu przychodnich nauczycieli, a wreszcie można synów i za morze wysłać po naukę.

Cóż zrobią biedniejsi? Ha na ich pociechę możemy dobre słówko powiedzieć. Oto skoro tylko nadejdzie od właściwej władzy zezwolenie, ma być jak nas z dobrego poinformowano źródła, otwarte w Warszawie *gimnazyjum realne prywatne siedmio klasowe.* O otworzenie takiego zakładu wniósł już do Petersburga podanie p. Starczewski b. Marszałek szlachty powiatu Włodzimierskiego i swoim własnym kosztem urządzić je zamierza. Wpis szkolny ma być taki jak w gimnazyjach rządowych. Że gimnazyjum będzie miało świetne powodzenie, rzecz to zupełnie prosta, że zacnej myśli p. Starczewskiego gorąco przyklasnąć należy, niepotrzebujemy dodawać.

* *
*

Sierpniowy poszyt Biblijoteki Warszawskiej, tak jak i poprzednie, nosi na sobie przeważnie starożytnicze niewzruszone piętno. Rozprawa o „żydzie wiecznym tułaczu”, której dokończenie tu znajdujemy, jakkolwiek nie jest pozbawioną krytycznego zmysłu i zdradza nawet poszukiwanie dobrej metody, to wszakże dzięki beznadziejnej martwocie samego przedmiotu jak niemniej kolistemu i rozwlekłemu traktowaniu rzeczy, nie budzi zajęcia i do żadnych naukowych nie doprowadza wniosków. Nieco przychylniejszy sąd moglibyśmy wydać o artykule p. t. „Dawna ziemia bielska i jej cząstkowa szlachta”, przez Zygmunta Glogiera, gdyby nie to, że autor kreśląc w słabym konturze oparte głównie na rodowodzie nazwisk dzieje szlachty bielskiej, zawiele w stosunku do naukowych wywodów nietopnego nagroma-

Talerz rosołu i kawałek mięsa, kupione za kilkanaście groszy lub nareszcie jakakolwiek ciepła zupa, szklanka herbaty i t. p. byłyby przecież lepsze od kwaśnego piwa i ogórków, a z pewnością prędzejby uchroniły od nieszczęśliwych wypadków niż przepisy stokrotnie ogłaszane.

Okolice Starego i Nowego miasta, Solec, Tamka, Grzybów, które najwięcej chorych dostarczają, winny być przedmiotem szczególnej troskliwości. Byłaby to najracyjonalniejsza ochrona i najlepszy środek zapobiegający, bo biedny wyrobnik chętnieby pięć kopiejek za taki objad zapłacił—bo inaczej z braku funduszów musi jeść surowizny i chorować.

Drugą rzeczą jaka się nastręcza, jest *zabronienie sprzedaży* wszelkich surowizn.—Nieraz używano tego sposobu, w czasach kiedy epidemija była groźną.

Przykro patrzeć kiedy się np. dopiero co widziało chorego, który dostał cholery z niestrawnego jadła—a ot na ulicy napotykasz wyrobnicę, w najlepsze zawijającą kwaszony ogórek lub surową rzepę. Jestto zapewne wysoka arbitralność bronić komuś czynić co mu się podoba, ale ciemny gmin, to jak dziecko bezrozumne, które pilnować na każdym kroku należy.

Toż samo da się powiedzieć o czystości w utrzymywaniu kanałów, rynsztoków i tak dalej. Stróż bowiem nie sypie tak zwanego proszku w rynsztok, lecz po brzegach jego, aby widziano, że posypane.—Na cóż się to zdało, cóż zrobi ów proszek leżący na bruku? Zresztą utrzymywanie w czystości rynsztoków nie zapobieży złemu, jeżeli obszerniejsze scieki zupełnie są zaniedbane. Tak np. naprzeciwko domu na Solcu, gdzie tylu ludzi wymarło, kanał idący wdłuż Alei Jerozolimskiej niema dobrego odpływu—rozlewa się przeto płynąca nieczystość na wszystkie strony, czyniąc zaduch i złowonne powietrze.

Toż samo się dzieje z wymiataniem rynsztoków.

Stróż macza miotłę w błocie i smaruje nią po brzegach, dla widocznego świadectwa, że wymiatał do gruntu, jest to także figiel, figiel który miejsca mieć nie powinien.

Ponieważ klasa robotnicza pism nie czytuje, zdaje nam się, że najpożyteczniej by było z kazalnicy w dnie świąteczne ogłosić przepisy higijeniczne i dyjetetyczne, oraz objaśnić co jest szkodliwym i jak się zachowywać potrzeba, a nadewszystko w razie najlżejszych oznak cholerycznych zalecić udawać się do doktora lub szpitala.

Szybkie udzielenie pomocy zmniejszyłoby bezwątpienia procent śmiertelności, która bądź co bądź jest znaczna. Nie możemy robić zarzutów dotychczasowym działaniom przeciw szerzeniu się epidemii przedsięwziętym. Owszem—posiadamy obszerne sale w szpitalu Ś go Łazarza i Ś-go Ducha, gdzie koleją dniem i nocą pełnią służbę młodzi lekarze; a na usłudze szpitalnej i lekarstwach nie zbywa. Jest do rozporządzenia wszystko czego zażądać może lekarz—byłoby więc życzeniem aby taką staranność i po za obrębem szpitali zaprowadzić. Tanie higijeniczne objady zdaniem naszym są rzeczą najważniejszą i wartoby o urzeczywistnieniu tego możliwego do wykonania projektu natychmiast pomyśleć.

Wartoby także w kilku miejscach miasta, gdzie epidemija więcej panuje, założyć strażnice lekarskie, gdzieby zawsze był obecnym lekarz i kilku felczerów dla podania natychmiastowego ratunku — mówiono już o tym projekcie, w urzędzie lekarskim, i wszedł on w wykonanie.

Podając te kilka uwag, zwracamy się jeszcze do wszystkich ludzi oświeconych i rozsądnych, aby o ile mogli, wpływali radą na ciemnych i nierozumnych, wykazując im szkodliwość owego lekceważenia przepisów dyjetetycznych.

Przemówienie z ambony uważamy za środek bardzo skuteczny i celowy, zwłaszcza, że już mieliśmy sposobność słyszeć, iż na czas epidemii uwalniono od postów, oraz nakazano wstrzymać pielgrzymki do miejsc cudownych. Działanie duchowieństwa w tym razie byłoby bardzo pożyteczne, a wytłumaczenie ciemnym, że nie można obżarstwa i łakomstwa popełniać rachując na opiekę wszechmocy, bo przecież grzechem jest zbyteczna ufność w miłosierdzie boskie nader pożądanym. Medycyna miałaby tu skuteczne i dzielne poparcie, bo silnie wierzący prostaczkowie, prędzejby może usłuchali księdza niż lekarza, którego piérwsza lepsza baba szpitalna lub felczer zdyskredytować w oczach gminu potrafią.

Kwestyją przez nas podnoszoną czytaliśmy w ostatnim numerze „Bluszczu“ nie wątpim, że i reszta czasopism ją poruszy, boć to obowiązek każdego człowieka, aby podawać pomoc nędzy a ciemnym i nieumiejętnym pożytecznie radzić.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Gucio siedział jeszcze w domu. Wybierał się do Furfarkiewiczów, ciągnięty nieprzepartą chęcią ujrzenia Beaty — ale rozdrażniony, zły, zirytowany — to rozpaczał, to gwizdał i śpiewał na przemiany—wskazując na męczeńską próbę cierpliwości swego lokaja. Ktoś zadzwonił—oznajmiono mu Emanuela.

— Prosić!—zawołał idąc ku niemu.—Czyś z chmury spadł, drogi książe?—spytał podając mu rękę.

— Mniejsza o to!—odparł zimno.—Przybywam po wiadomości o mojej narzeczonej.

— Naturalnie!—domyślam się tego!—powiedział z mieszaniną humoru i smutku Gucio.

— Cieszy mię że pan tak domyślny!

— Ah! mój książę, masz minę jakbyś mię chciał wyzwać!

— Pańska przenikliwość nie zawiodła i tym razem!

— A to ciekawe! — Gdybyś pan nie był narzeczonym panny Beaty—chętnie biłbym się z nim, ze złości, że dziś rano, nie czekając nawet na moje wyznanie — odmalowała mi w uroczej szacie całą potęgę swojej miłości dla swego Emanuela—a mnie na pociechę, kazała przyrzec, że się niedługo ożenię i będę waszym przyjacielem!—Pojmujesz pan więc, że dotrzymując słowa, nie pozostaje mi jak zawieść pana do Furfarkiewiczów—gdzie ona się znajduje—i patrzéć na wasze szczęście!..—dodał nawpół z płaczem.

— A mnie powtórzyć wraz z Beatą zobowiązanie przyjaźni!—rzekł Emanuel ściskając jego dłoń gorąco.

— Masz pan frak ze sobą?—pytał Gucio.

— Mam—ale w tłomoku.

— Gdzie został? każ go przynieść—i jedziemy!

---

dział materyjału i uczynił tym sposobem ze swej pracy napół obojętną dla ogółu a martwą dla wydawcy herbarza notatkę.

Jedynym artykułem, skreślonym żywo i gruntownie, nadającym zeszytowi wyraźniejszy nieco naukowy połysk, jest rzecz z zakresu botaniki p. n. „Mimosa (czułek)“ przez Dra Edw. Sztrazburgiera.

* * *

Przerażająco bogaty repertuar tułających się po stałej warszawskiej scenie sztuczek tuzinkowych pomnożony został przed tygodniem przetłumaczoną z francuskiego komedyją Amadeusza Achard p. t. „Klucz do kary“. Cała ta nieźle publikę usypiająca farsa obraca się około próżnej chciwości żon, tajemnicą otoczonej ekonomii mężów i obronnych sposobów, jakich ci ostatni wobec natarczywości swych pięknych połowic używają. Zupełny brak przewodniej myśli, nadzwyczaj słaby węzeł intrygi i jednostajność dyjalogu, jaką się ta niby— komedyja odznacza, powinnyby zaprawdę wiecznym okryć ją zapomnieniem i stanowić nieprzełamane do przedstawienia jej na scenie preszkody. Dla zupełnej tymczasem uciechy widzów, odegrano tego samego wieczoru na deskach letniego teatru nudniejszy jeszcze od tej nowalijki, niżej krytyki stojący utwór Feuillet'a p. t. „Za i przeciw“!

Dniem wprzódy przedstawioną została w teatrze letnim tragedyja Szylera „Zbójcy“, w której rolę Karola Moor'a odegrał p. Leszczyński, rolę zaś Amalii, dawna artystka warszawskiego teatru, powrócona scenie naszej p. Maryja Łapińska (p. Nowakowska).

* * *

Teatrzyk Alhambra wspina się całą siłą na niedostępne wyżyny szylerowskich, hugonowskich i szekspirowskich tragedyj. Jako owoc tych usiłowań pokazał nam na wąskich swych deskach Andżela, Hamleta i Zbójców. Najtrudniejsze role w tych utworach przypadły pp. Zarembie, Trapszy i Stankiewiczowi, oraz pp. Mikulskiej i Sochaczewskiej. Andżelo dzięki starannej grze Mikulskich udał się jeszcze niegorzej: Hamlet syn (przedstawiony przez p. Zarembę) nie uwłaczał bardzo gienijuszowi Szekspira, lecz całość tragedyi świeciła parodyją; szylerowski wreszcie utwór przez nieumiejętną grę krzykliwego aktora, p. Stankiewicza (Karola Moor'a) i mniej dbałe wycieniowanie roli Franciszka przez p. Zarembę (który nazajutrz miał się podjąć roli Agamemnona w Pięknej Helenie), prawie zupełnego doznał *fiasco*. Oby groźba cząstkowego lub zupełnego niepowodzenia dramatów i tragedyj swieciła w Alhambrze i Eldorado głoskami Baltazara ponad łożem dyrektorskich marzeń, zwracając je ze stromych wyżyn ku poziomowi popularnej i narodowej komedyi!...

W Eldorado przedstawiano niedawno z powodzeniem oryginalną komedyją Kajetana Kraszewskiego (brata naszego znakomitego pisarza) p. t. „Kapłanka idei“, odznaczającą się dodatnio wcale niezłą artystyczną konstrukcyją i ujemnie wstecznym dążnościowym przewodem.

* * *

Otrzymaliśmy z Kowna list następujący:

Donoszę szanownej Redakcyi o wypadku, który obecnie jest u nas przedmiotem powszechnej rozmowy.

Dziś w niedzielę dnia 5/17 Sierpnia w czasie sumy, gdy po ewangielii nadszedł czas na kazanie, na ambonie, zamiast księdza ukazał się człowiek lat około 40, z niewielką brodą, długiemi włosy, łysy, szczupły, i przeżegnawszy się głośno zawołał: Nie lę-

Ułożyli się nakoniec, że wstąpią do mieszkania Beaty—gdzie Emanuel ubierze się wedle przepisów etykiety i pojadą do państwa Hijacyntów. Podczas gdy Emmanuel zaprowadzony przez Janową ubierał się przed tualetą Beaty—Gucio został w saloniku nieoświetlonym. Biały książę wychodząc ze świecą w ręku obejrzał się za nim—i drgnął z podziwienia: biedny Gucio klęczał przed krzesłem, na którym zwykle siedziała Beata—namiętnie przyciskając do ust dłutko, tyle razy widziane w jej ręku!...

Usłyszawszy szmer, zerwał się—roześmiał z przymusem i rzekł w rodzaju tłumaczenia:

— Miewam niekiedy dziwne napady gwałtownego rozdraźnienia nerwów!—Jedźmy!

Potym zmierzył błyszczącym od łez okiem Emanuela i dodał.

— Dobrze—szyk!—nienawidzę cię—z całej duszy!—Ale nie zważaj pan na to! zawiniłem przeciw Beacie, trzeba odpokutować dopomagając jej do szczęścia!—Jedźmy!

Wybiegł, rzucając Janowej rubla—delikatny profil i wyraz jego twarzy przypomniał żywo Emanuelowi nieszczęśliwą Elodyję. Przykre uczucie owładnęło jego duszą.

— Będzie burza jak w lipcu, czy co?—powiedział dorożkaż wskazując biczyskiem czarno dziwacznie ugrupowane chmury groźne i ponure.

— Jedź prędko zawołał Gucio—i dorożka z hałasem potoczyła się po bruku.

W salonie pani Flory gwarno już było i tłumno—bo dzień sobotni, zwykle zgromadzał liczne zastępy gości—lubiących żwawą *sans façon* gawędkę — i dobrą herbatkę, ze smacznemi przekąskami. Dziś pani Furfarkiewiczowa była w ogromnym ruchu i wyśmienitym humorze.—Śmietanka towarzystwa zebrała się u niej. — Widzimy i śmiertelną jej nieprzyjaciołkę panią Ruszczyc, która wystąpiwszy tym razem w żałobnym stroju Maryi Stuart—okazała przy sposobności całą piękność łabędziej jeszcze szyi i przepyszne czarne koronki—godne ozdabiać szatę królowej. Hrabianka Eleonora, w żółtej sukni ugarnirowanej jak chińska pagoda—wyglądała zupełnie jak mandaryn, lub sam cesarz niebieskiego państwa. Na zapytania liczne otaczającej ją młodzieży, odpowiadała iście chińskim zwyczajem, bo kiwnięciem głową i głuchym mruknięciem. Przy fortepijanie stał sławny artysta koncertant i kompozytor, który nie okazał zupełnej obojętności na zaproszenie z objetnicą wybornej herbatki; dając jednak niewyczerpany przedmiot do opowiadania dramatycznego pani Flory — z jakim trudem uzyskała zaszczyt jego wizyty.—Artystyczne słońce z należycie natchnioną, jak na wielkiego mistrza przystało miną— z twarzą à la Beethoven, bez zarostu na wzór Chopina—dowodził coś swoim wielbicielom, ugrupowanym w około nakształt drobnych planetek, zapożyczających od niego światła—z większą powagą, niż wszyscy klasycy i romantycy razem.—Dalej krytyk, autor z młodszą bracią literacką ostrzył swój dowcip i zbierał wzorki mogące mu służyć za temat do nowego artykułu.—Jako wyznawca postępowo-filozoficznych idei, tworzył niby nową szkołę żarliwie popieraną przez niektóre kółka towarzyskie. Cisza tu panuje przykładna, ledwo półsłówkiem i spojrzeniem udzielają sobie wzajemnie spostrzeżeń notując je w pamięci. Pani Furfarkiewiczowa nie lubiła literatów, powtarzając ciągle, że to są ludzie gorsi od psów—bo choć ich najlepiej nakarmić i napoić—pokąsają i oślinią tę samę rękę, co ich uprzejmie głaskała. Jednak, aby zebrania miały pewien urok uczoności, co dobre światło rzucało na gospodarzy, a główna na gospodynią domu—starała się zawsze przynęcić coś z tego niebezpiecznego rodzaju—aby później mieć prawo powiedzieć z niechcenia:

— Pan N. nasz znakomity autor—a! znam go—bywa u mnie co sobota na herbacie!—Nadewszystko chodziło jej o zjednanie sobie powag uznanych i głośnych, tak z literackiego jak z artystycznego świata.

Zdala od synów Zoila, zapoznany gienijusz poetycki, deklamował jakiejś młodziutkiej panieneczce pani Flory, już trzeci ustęp swego poematu—ale panienka widocznie przejęta duchem wieku, mało zwracała uwagi na półgłośne liryczno-sentymentalne strofy—lustrując tualety gości i poprawiając co moment własną. Jeszcze dalej—stroniąc od krytyków, artystów i poety z wyraźną niechęcią i jakby wrodzonym wstrętem—kilka młodych mężatek, doletnich panien i wielu mężczyzn różnego wieku rozmawiało, tworząc małe ale ożywione kółeczko. Opodal, obok jednej pani, żony artysty-malarza—ładnej, miłej kobiety—siedziała Beata—jak zazwyczaj w czarnej sukni, znużona, blada—i męczona gawędą pełną czczej elegancyi, którą naprzemian z artystami, autorami, i salonowcami prowadzić musiała. Mając dokładny obraz zebrania, może podsłuchamy nieco rozmowy. Najprzód zbliżymy się do czysto miejscowego żywiołu, wesołego kółka dam i panów, otaczających okrągły stolik zarzucony albumami. Rozmowa toczy się po francusku, z rzadkim wyjątkiem polskiego frazesu—powtarzając ją, musimy zrobić przeciwnie:

— Tiens!—zawołała żywo blondynka z noskiem figlarnie zadartym—pan Adolf już pięć panien zabawił, każdą punkt po pięć minut—lawirując nieznacznie ku kanapce pod oknem i niebieskiej sukni.

— Może to pociąg magnetyczny kolorów—wszakże ma niebieskie oczy.

— Nie! lecz on chce być z kolei bawionym.

— Niewiem—czy się to będzie podobać panu Józefowi.

— Czyż wszyscy mają jednakie upodobania? Inny gust pana Józefa, inny pani Józefowej.

— Et cela n'empêche pas au sentiment.

— Ni à l'une ni à l'autre! — zaśmiała się blondynka.

— Pani jesteś niesłychanie zmienną!—mówił blady brunet do pięknej szatynki w zielonej sukni i białych koronkach.

— Jak to mam rozumieć?—odparła z kaprysikiem i lekkim rumieńcem.

— Proszę nie przypuszczać żadnych arrière—pensées!—Mówię w prostym znaczeniu tego wyrazu. Słyszałem wczoraj o tualecie różowej—przeznaczonej na dzisiejszy *reunion*—a to—jeśli się nie mylę—kolor błogiej nadziei.

— Nie! to różowe!

— Pour moi, vous—êtes toujours *rose*!—odparł grzecznie—pochylając się nieco bliżej.

— Strzeż się pan! les roses ont des épines!—odcięła żywo szatynka.

— Les épines sont uniquement pour les maris!—rzekł ciszej sentencyjonalnie brunet.—Pour nous autres le charme et la douceur!

— Czy z doświadczenia teoryja wzięta?—wmięszała się blondynka.

— Mais oui! — odparł niezdekoncertowany.

— To się kompensuje jedno drugim, kolejnie!

---

kajcie się ludzie ja jestem Syn Boży—Wasz Ojciec!

Co dalej mówił, dosłyszeć nie można było, bo przeszkodziło temu powstałe zamieszanie i granie organu.

Widzieliśmy tylko giestykulacyją, groźenie palcem i niezwykłą bladość twarzy, która przedtym miała zupełnie cerę naturalną. Ów Syn Boży miał na głowie wianek z zasuszonych kwiatów, a przy sobie na ambonie położył był koronę z różańcowych podobno paciorków zrob oną i starą jakąś książkę. Na ambonę wszedł naturalnie niepostrzeżony, zamknąwszy za sobą drzwi na zasuwkę. Aby szaleńca sprowadzić, potrzeba było odbijać drzwi. Tymczasem Syn Boży mówił i widocznie spieszył się, by korzystać z czasu.

W czasie gdy tarmosił się z kościelnemi sługami, dziad kościelny, mówił do kościelnej baby, że to musi być rzeczywiście święty skoro nie mogą mu poradzić i że należałoby księdzu przyjść ze święconą wodą, aby go wyświęcić.

Widziałem go następnie w policyi, dokąd przez straż, był zaprowadzony i tu nam mówił, że rzeczywiście jest Synem Bożym że wianek który miał na głowie, jest cierniową koroną Chrystusa; że przez Matkę Boską Ostrobramską jest wysłany, by nauczać lud jak trzeba żyć po chrześcijańsku, a głównie jakie są obowiązki księży, którzy z nich źle się wywiązują; — że pragnął mówić długo i dużo o swoim posłannictwie, lecz mu przeszkodzili, i tak dalej. Po polsku i po ru sku mówi dobrze. Śladów obłąkania dojrzeć trudno, prócz chyba, gdy mówi o swoim Boskim pochodzeniu Słyszałem mówiących że w czasie upałów silne miewał napady obłąkania, lecz dziś jakkolwiek pogodę mamy piękną, upału wcale niema. Wszyscy zaciekawieni co dalej z nim będzie. Jeżeli wydział lekarski uzna go za obłąkanego, będzie zapewne odesłanym do szpitala na kuracyją, jeżeli się zaś okaże co innego, to będzie sądzony. W każdym razie nieomieszkam podać Wam bliższych szczegółów.

Er. Gruff.

* * *

Panie Redaktorze.—Pod tytułem: „Słówko do młodzieży uniwersyteckiej" znaleźliśmy w N. 30 Izraelity artykuł, który— wyznać musimy wzbudził w nas uczucie zadziwienia z jednej,—oburzenia zaś z drugiej strony. Nie przesadzamy bynajmniej. Izraelita, organ poświęcony sprawom religii i mający rozprzestrzeniać oświatę między mniej wykształconemi wyznawcami Mojżesza, przystępuje do rozbioru kwestyj nic z wyznaniem wspólnego nie mających, bo za jedną z takich trzeba uznać rzecz w powyżej zacytowanym artykule podniesioną. Do młodzieży uniwersyteckiej przemawia Izraelita! Ale czy w sprawie religii, moralności? Nie. Wyrzuca tylko studentom że nie dość pracują, że oprócz specyjalnego nie posiadają żadnego innego wykształcenia, że... Ale dosyć chyba będzie tego wyliczania. Zapytajmy się raczej do kogo Izraelita te słowa stosuje. Czy do ogółu studentów? Nie—bo że do tego nie ma prawa, redakcyja organu wyznaniowego widocznie się przyznaje. Ale za to sądzi się być mocną przemawiać do *„naszych t. j. izraelskich studentów."* Celem Izraelity—oświecać ciemnych zacofanych współbraci, ale chyba za takich nie może uważać studentów, którzy, jak samo wskazuje nazwanie zajmują się nauką, badaniem. Nawoływanie do pracy studentów, naprowadzanie na drogę postępu ludzi, u których tenże z natury ich zajęć wypływa jest zupełnie chybionym. Z drugiej znów strony co znaczy przemowa do *„naszych studentów t. j. izraelitów"* Protestuję przeciw podobnym wyrażeniom. Ogół niezna studentów-żydów, nie zna również studentów-katolików i t. d. Ogół zna wyłącznie *studentów*, i tylko jako takich wspiera i losem ich

— Tak! ktoś powtórzy to samo pańskiej żonie! Mutualité parfaite!—powiedziała złośliwie blondynka.

— Ale są rośliny, co nie będąc różami, mają przecież jeszcze ostrzejsze kolce!—rzekł patrząc na nią brunet.

— Jak to znać zaraz że pan miłujesz Florę, i robisz często studyja botaniczne!—powiedziała naiwnie z skromną minką zaczepiona, a obecni rozumiejąc dwuznacznik—stłumili wybuch śmiechu.—Brunet się zmieszał nieco.

— Tak?.. odkądże to podobne zamiłowanie?—spytała żywiej szatynka.

— Od niedawnej pory — mówiła blondynka.

— Od tego czasu, gdy pani idąc wzorem amerykanek zwalczyłaś przesądy i chociaż w domu, nie mogąc gdzieindziej, słuchasz z upodobaniem kursu medycyny!—Nie mogę pozwolić wyprzedzić się paniom na drodze postępu!—zapłacił za szyderstwo brunet.

— Ah! vraiment — nowych dowiadujemy się rzeczy—powiedziała szatyna, patrząc na zapłonioną sąsiadkę. Zajmujący to musi być wykład.—Powiedz mi do jakiego punktu już dosięgnęłaś?—czego obecnie się uczysz?

— Zapewne anatomii porównawczej!—odezwała się milcząca dotąd pani Ruszczyc, która zagłębiona w fotelu zdawała się mało na rozmowę zwracać uwagi.

Blondynka przeszyła ją wejrzeniem, jak strzałą.—

— Przynajmniej to szczęśliwie, że nie konkurujemy na jednym polu.—Ja nadewszystko cenię rozmaitość i swobodę. Każdy ma swoje upodobania i skłonności—jedni wielbią zasady emancypacyi—inni, gardzącej wszystkiemi prawami boskiemi i ludzkiemi filozofii. Co do mnie—nie narzucałabym swego zdania i gustu nikomu.—Nawet własnej córce!—dodała z naciskiem.

— I masz pani zupełną słuszność!—powiedziała chłodno, bez najmniejszego zakłopotania pani Ruszczyc, niedbale poruszając wachlarzem.

Pocisk przeszedł bez wrażenia. — W tej chwili przystąpiła pani Flora, a za nią lokaj z pełną tacą—co przerwało drastyczną polemikę salonową.

W drugim kącie śród artystów i dyletantów muzycznych, niemniej żwawa panowała dysputa. Krytykowano zacięcie ostatni koncert—porobiły się partyje obstające za—i przeciw— aż mistrz się odezwał— i napozór rzecz rozstrzygnął—lecz w duchu każdy pomyślał:

— Znam ja się lepiej niż oni!

Literaci najmniej mówili, słuchając za to najwięcej—trochę rozpierzchli się po salonie, bodaj czy nie dla lepszego podsłuchania.—Paru młodych zapaleńców, poszło szukać ideału do powieści—starsi—tematu do satyry, albo miejskich ploteczek do kroniki miejscowej.—Resztę podłysiałych nestorów, zabrał pan Hijacynt do zielonego stolika.

Zapuszczone firanki nie dozwalały widzieć zachmurzonego nieba—turkot kół przejeżdżających ekwipaży, zagłuszył grzmot, co wbrew prawom przyrody—przy końcu stycznia pozwolił sobie zabrzmieć ponuro.

Śmiech i rozmowa mięszały się z dźwiękiem szklanek i talerzy,—Beata usunęła się nieco w głąb' framugi od okna—i przymknąwszy oczy przechyliła w tył ociężałą głowę. Było jej duszno w tej wonnej rozszalałej sferze—słowa, wejrzenia, uśmiechy—będące tłumaczami fałszu, występku, szyderstwa, lekceważenia wszystkiego—snuły się przed nią jak gorączkowe straszne widziadła.—Nie pojmowała zaślepienia i próżności ludzkiej—nie mogła dzielić z niemi szału zapomnienia—z poza maski konwenansów, jawiły się jej prawdy gorzkie, rozpoznawała wyraźnie—zamiast dowcipu, bezwstyd, i złość gorącą—zamiast godności, zalotność ohydną—wszędzie pełno kłamstwa, blagi, fanfaronady!—Ci ludzie łudzili się wciąż wzajemnie, udając wiarę w oczy—wyśmiewając się natychmiast ledwo się rozstali. Wszyscy zajęci, dążyli spiesznie potrącając się wzajem, upadając i wznosząc— skalani, ze zmazą błotnistą na czole—gdzie?... za czym?... oh! oni tego nie widzieli—jutro ich nie zajmowało—byle dziś, dziś tylko przeżyć wesoło! Beata gorzko dumała.—Nagle— huk i błysk straszliwy olśnił jej oczy—piorun gdzieś uderzył w pobliżu!—odskoczyła od okna i krzyknęła, ale nie z przerażenia—we drzwiach salonu stanął Gucio z Emanuelem.

Pióro nie może dostatecznie obrazowo skreślić malowniczej sceny ogólnego przestrachu. Jedne panie mdlały—inne kryły się za sprzęty.—Blondynka chwyciła rozpacznie rękę młodego doktora—swego prelegenta. Szatynka przytuliła się do bruneta, który nie będąc w tej chwili usposobionym do ocenienia tak miłego dowodu zaufania—energicznie drapnął ku drzwiom, a za jego przykładem wielu innych. Filozof, jak świadczono, przeżegnał się ukradkiem lecz głośno—pani Flora rzuciła się w objęcia Hijacynta—który daremnie się chciał dowiedzieć co się stało? Cypryś płakał i wrzeszczał—szklanki się tłukły, herbata wylewała?—Jedna pani Ruszczyc nie ruszyła się z miejsca, choć zbladła i drżała jak listek osiny. Każdy myślał o sobie—i nikt nie zauważył radosnego wykrzyku Beaty na widok nowego gościa. — Gucio zbliżył się szybko do niej i rzekł:

— Przyprowadzam pani Emanuela, który przed półgodziną miał chwalebny zamiar zabić mię w pojedynku.—Czy pokuta za moje przewinienie dzisiejsze spełnione?

— Oh! jesteś pan dobrym i szlachetnym!—zawołała cicho Beata i podała rękę narzeczonemu—wzrokiem wypowiadając mu całe uczucie swej duszy i serca.

W zamięszaniu, nikt tego nie uważał—ale gdy przytomność wróciła, Gucio walcząc z sobą z nadzwyczajną mocą — odszukał pani Flory i pana Hijacynta, powitał ich i przedstawił im Emanuela. Oboje na szumną rekomendacyją, otworzyli wielkie oczy.—Książę Wiśniowiecki!—ale powiedzże mi pan kto to jest? — pytała Furfarkiewiczowa chwytając Gucia za rękaw. — On najprzód bardzo zręcznie uwolnił się z ujęcia jej rączki—a potym powiedział:

— Jestto—jak pani widzi, ładny młody człowiek—narzeczony panny Beaty.

— Co? co?—wołała zdziwiona—ale Gucio już był w drugim salonie.

Wiele czasu upłynęło, nim towarzystwo wróciło do porządku—nim się wszyscy poznajdywali—i przybrali pozycyje normalne. Burza jakby całą gwałtowność wjednym tylko wyczerpała wybuchu—srożyła się tylko wichrem i deszczem. Ochłonąwszy z przestrachu, śmiano się i żartowano wzajem—tysiące komicznych sytuacyj wyszło teraz na jaw, pobudzając wesołość ogólną. Tymczasem Beata i Emanuel w kilku słowach powiedzieli sobie tak wiele, choć tak mało!—Biały książę uspokoił się zupełnie.—Z właściwą sobie swobodą—przypomniał się kilku paniom znajomym z balu w Radlinie—powitał hrabiankę Eleonorę—i zajął miejsce przy Beacie.—Wkrótce wyłącznie zajęli się sobą

---

się zajmuje. Jeżeli zatym przemawia Izraelita do ogółu studentów to dziwić się nam wypada; jeżeli zaś do „*naszych*“ zwraca swe zarzuty, to wywołać to może oburzenie tylko. Tyle co do redakcyi, a teraz odeprzyjmy przez p. M. St. stawiane zarzuty.

Porównywając studentów warszawskich z niemieckiemi autor utrzymuje, że ci ostatni wyższą odznaczają się inteligencyją, aniżeli gdzie indziej. Oni uczą się nauki, a my 30 czy 40 pytań, kurs profesora składających. Przejść z kursu na kurs, zdać egzamin—oto wszystko. My jesteśmy obojętni na naukę i jej rozwój. Cóż autora skłoniło do posądzania studentów o ten indeferentyzm. Prawda, dzieł studenci nie piszą, ale bo też i pisać nie powinni. W uniwersytecie powinniśmy się uczyć, po ukończeniu—samodzielnych prac ogłaszać rezultaty. Żąda autor, aby studenci przyswajali dzieła obce. Ale czy przyswajanie to wymagające dużo czasu i starań przynosi pożądane rezultaty? O korzyściach materyjalnych mówić nie warto, z drugiej strony, pod względem umysłowym czy nie lepiej czas zużyty na przekład poświęcić na czytanie dzieł naukowych. Że młodzież akademicka przystępuje do egzaminu ze znajomością wyłożonego kursu, tego chyba jej za ujemną stronę poczytywać nie można. Że celem każdego jest jaknajprędsze ukończenie uniwersytetu, nie było dla nikogo tajemnicą i wytykać tego w artykule z dziedziny obyczajowo-społecznej najmniejszej nie widzę potrzeby. Skłania do tego potrzeba zapewnienia sobie stanowiska, ale i ustawa uniwersytecka nie pozwala na dłuższy w nim pobyt nad maximum lat 6. Dwuletnie na kursie przebywanie pozbawia stypendyjum i nie uwalnia od wpisowej opłaty, nie uiszczanie się z której grozi wydaleniem z uniwersytetu ze wszystkiemi tegoż skutkami. Czyż można się dziwić że każden na wyższy kurs przejść pragnie? Aby o fałszu zarzutu o indyferentyzm względem nauki wychodzącej po za zakres kursu, dowodnie się przekonać, wystarcza przejrzeć księgę kontroli biblijoteki studenckiej. Ważniejsze dzieła są rozchwytywane i długo trzeba ich wyczekiwać. Lecz godzi się wydawać sąd o kilkuset ludziach, których, śmiało rzec można, wcale się nie zna. „Po za obrębem swojego ja, swojego egzaminu nie bije to serce szlachetniejszym tętnem miłości dla nauki, postępu, dla ogólnego dobra.“ Szlachetniejszym tętnem miłości dla nauki.... Czyż autor żąda od studentów nauki dla nauki? Studenci uczą się, żeby sobie utrzymanie, stanowisko zapewnić. *Dla postępu...* czyż autor postęp w kilkuletnim na kursie upatruje przebywaniu? *Dla dobra ogólnego...* nie przysłużyłaby mu się młodzież uniwersytecka zabierając fundusze za które wykształciłby się mogło następujące już pokolenie. Posądzasz, panie autorze, studentów o apatyją, zapominając, że ta wogóle daleką jest od naszego społeczeństwa, a tymbardziej że jej niema w najruchliwszej tegoż części, t. j. między studentami. Czyż koniecznie żądacie żeby student dniem i nocą siedział na poddaszu i ślęczał nad książkami przy słabym świetle cuchnącej lampki. Patrzcie trzeźwiej na życie! Żądacie od nich tego, czegobyście sami w żaden sposób zrobić nie mogli. Nawołujesz do zajęć literackich, ale głos twój, panie autorze wydaje mi się tylko echem głosu dawno i nie przez ciebie wypowiedzianego. Znaczna liczba studentów pracuje w redakcyjach młodej prasy, gdzie bez twej, szanowny panie, pomocy znalazła zajęcie. Narzeka dalej autor na brak wszechstronnego wykształcenia studentów. Było ono możliwym za czasów Arystotelesa, trudniejszym za Bakona, ale niemożebnym jest przy dzisiejszym stanie nauk. Minęły czasy encyklopedycznego wykształcenia, specyjalizacyja — znamieniem naszego wieku. O tym chyba autor wiedzieć był powinien. W odpowiedzi na zarzut niełączenia się i brak wspólnego działa-

Panią Ruszczyc ominął—bezwiednie zgadzając się w tym z Beatą—która także przedstawiona jej przez Furfarkiewiczową, usunęła się zaraz poprzestając na zimnym ukłonie. Dumna matka Elodyi—uczuła się przecież cokolwiek zmieszaną na widok dwojga narzeczonych—bo przenikliwością swoją dorozumiała się wszystkiego. Obejrzała się za Guciem, ale ten wprawiając w wielki podziw całe kółko znajomych— usiadł do kart—i śmiejąc się ciągle—żartował w sposób przejmujący dreszczem słuchaczy, którzy go nigdy tak złośliwym nie znali.—Napróżno hrabianka Eleonora chodziła po całym salonie—kręciła się, niecierpliwiła—nie widział jej wcale.

Wreszcie zgniewana, a stanowczego usposobienia panna—posłała jednego z usłużnych kawalerów i kazała go zawołać poprostu.

— Est—elle enragée!—wołał prawie głośno Gucio—usłyszawszy wezwanie.

Obecni osłupieli!—on zaś, kładąc karty—zbliżył się do hrabianki z miną tak szyderczą i niedbałą — że po raz piérwszy w życiu zapomniała swojej płynnej wymowy.

— W czymże mogę pani być użytecznym? Wołano mię z rozkazu pani?

— A to co? — przemówiła robiąc wielkie oczy.

— Gdzie? — czy pani ujrzała co ciekawego?—Może drugi piorun ma uderzyć?—ciągnął dalej drwiąco.

Zamilkła chwilę — nakoniec rzekła nagle:

— Powiedz mi pan—co to znaczy?—czy się na mnie gniewasz?

— To ja słyszę ciągle zagadki — i prosiłbym—gdybym był ciekawy—o wytłumaczenie tego enigmatycznego stylu!

— Czy pan chcesz sobie kpić ze mnie!—zawołała Eleonora łamiąc wachlarz.

— Plaît—il?!—Jaka szkoda! ładny miałaś pani wachlarz!—powiedział niedbale Gucio.

Hrabianka zatrzęsła się na taką krwawą zniewagę. — Zerwała się z krzesła i jednym rzutem przebiegła cały salon, siadając z impetem przy pani Ruszczyc?

— Myślałam, że uragan leci!—spada trąba powietrzna!—Tak jesteś lekka, że unosisz się nad ziemią jak piórko! — A dzień dzisiejszy tak obfitujący w nadzwyczajne wypadki, że wszystkiego się można spodziewać!—powiedziała piękna naśladowniczka Maryi Stuart.

— Eh! wiem dobrze, że pani jest dowcipna!—Ale ja myślę o czym innym. Wracajmy do domu!

— Za półgodziny—teraz nie wypada!

— Ah! głowa mię boli!—jedźmy zaraz!

— Niepodobna! Byłoby to śmiesznością—odparła pani Ruszczyc zimno—a hrabianka przekonana tak ważnym argumentem, umilkła.

(*d. c n.*)

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

V.

Eliza Orzeszko.

(*Dokończenie*).

Trzeźwy pogląd na rzeczywistość przy wykształconym na właściwych wzorach talencie, jest koniecznym warunkiem najcenniejszego w utworach sztuki przymiotu, zwanego pospolicie plastyką tworzenia. Przymiot ten uwydatnia się w pewnym stopniu i w pracach naszej powieściopisarki. Odtwarzani przez nią ludzie są po większej części ludźmi z krwi i kości: nie chodzą na idealnych koturnach, nie pojawiają się z anielskiemi u ramion skrzydłami; losy ich zgodne są z prawidłowym rozwojem wewnętrznego układu charakterów, a sytuacyje prawdopodobnemi. Chorobliwe, ze czczego ducha wysnute postaci, jak bezcielesny poeta *Konwalius Konwaliorum* („W klatce“), w każdym razie do nielicznych należą wyjątków. Że jednak autorka lepiej zna świat salonowy niż mieszczański, lepiej kobietę niż mężczyznę, to i obrazy z *wielkiego* zdjęte świata, a przedewszystkim popiersia kobiece stanowczą pod względem artystycznego wykończenia nad innemi odnoszą przewagę.

Ujemną stroną twórczości naszej autorki—jużto w granicach wielu powieści, jużto w zakresie tego lub owego utworu—jest zbyt częste powtarzanie charakterów, sytuacyj i drobnych obrazkowych efektów. Powtarzają się u niej charaktery—główne i pomocnicze, dodatnie i ujemne, męskie i kobiece. Stefan Rawicki z „Ostatniej miłości“ jest sobowtórem Gaczyckiego w „Cnotliwych“ i hr. Witolda w „Pamiętniku Wacławy“; Agienor z Pamiętnika Wacławy przypomina hrabiego Augusta z Ostatniej miłości, Ewa salonów („Na dnie sumienia“)—matkę Wacławy, Szeherezada („W klatce“)—Antyfonę („Cnotliwi“). — Postaci jednak żeńskie zdradzają w porównaniu z męskiemi, daleko większą, opartą na pewnym gruncie siłę tworzenia, i nawet przy niezwykłym czasami ogólnego tła podobieństwie—znakomitą zdolność artystycznego cieniowania powieściowych figur. Dowodem tego są przedstawione w kilku odmianach dwa niewieście typy—wykształconej a do czynnego życia przez próby i trudy przygotowanej kobiety (Wacława, Ryta, Krystyna), i cichej, wdzięcznej gosposi, czterech ścian anioła (Stasia, Cesia, Madzia). Odmiany jednego i drugiego typu są pożytecznemi i wykończonemi ze stanowiska sztuki osobnikami; podczas gdy w szrankach męskich postaci podobne do siebie figury szlachetnych mężów, hulaków i płaczliwych marzycieli żadnego charakterystycznego nie noszą na sobie odcienia.

Powtarza się również niekiedy nasza autorka i w ogólnych powieściowych pomysłach. Dla przekonania się o tym, dość porównać zgodny zarys dziejów kobiecego ideału w utworach: Cnotliwi, Ostatnia miłość i Pamiętnik Wacławy. Tu, tam i owdzie narysowaną jest wdzięczna postać młodej—z początku marzącej, potym bolejącej; i nareszcie w próbie doświadczenia dojrzałej kobiety. W pierwszej połowie dramatu pieszczą ją wonie dziewiczych marzeń, poznaje ładnego chłopca i śni o miłości, w drugiej—rozczarowana lub osamotniona, zapomina o śnie błogim i statecznego, pełnego zasług człowieka za męża sobie wybiera. Powtarzanie drobnych obrazkowych efektów uwydatnia się między innemi w utworach— „W klatce“ i „Cnotliwi“. Rys ten, nieodłączny od satyrycznej definicyi chórów powieściowych, zwiędły owoc wyczerpanego humoru, polega na powtarzaniu pewnych epitetów i ciągłym przypominaniu związku, jaki już raz został określony między daną osobą a zajmowanym np. przez nią miejscem lub charakteryzującemi ją akcesoryjami. Tak np. Harasimowicz w powieści „W klatce“ ukazuje się *zawsze* „z ręką przyciśniętą do oszklonej flaszką piersi“, a Ignaś w „Cnotliwych“ „wzdycha między piecem a konsolką“. Jednostajnością też pewną grzeszy styl i sposób zawiązywania dyjalogów miłosnych, używany przez młodych bohaterów naszej powieściopisarki w pierwszym, półsennym życia ich peryjodzie. Zakochana para postrzega zwykle podczas samotnej przechadzki dwie gwiazdy na niebie

---

ani odsyłamy autora do ustawy uniwersyteckiej. „Smutno pomyśleć ze nie istnieją chęci pracy dla ogółu.“ Świetny frazes! Żeby można zdziałać coś dla ogółu, trzeba wprzód pracować dla samego siebie. Doszedłszy do niezależnego stanowiska, zapewniwszy sobie byt, można poświęcić czas *nauce dla nauki*. Gdzie nie ma pieniędzy—nie ma swobodnego czasu, a bez niego o przyczynieniu się do nauki myśleć niepodobna. Któż zaś, jeżeli nie student musi dbać o jutro. Pragnęlibyśmy wiedzieć, co autora spowodowało do uznania owej wyższości studentów niemieckich. Czy ich knajpiarskie życie nie przeniesione na nasz grunt?.. Używanie wyszarzanych konceptów, jak o koncercie i czapkach, o konkurach o posadę w poważnym piśmie miejsca mieć nie powinno. Czyżby Izraelita miał zasmakować w sposobie pisania Kolców i Muchy? Dziwimy się jak redakcyja Izraelity podobny artykuł zamieścić mogła. Ani jeden fakt prawdziwy w nim nie podany; nawoływania—zbyteczne. Trudno pojąć jak Izraelita przy tak szczupłych ramach z jednej strony, wobec zaś takiego wielkiego zadania, jakim jest szerz nie oświaty między zacofanemi żydami—z drugiej strony, może zajmować się kwestyją studentów. Niechaj co do nich porzuci swój system protekcyjny. Wyjdzie to na korzyść studentów, społeczeństwa i, co niemniej rzecz ważna na korzyść samego pisma. Niech redakcyja nie zapomina że studenci—to ludzie, których zadaniem jest działać później śród społeczeństwa. Jakąż u niego wiarę wobec oskarżeń Izraelity mogą mieć ci późniejsi społeczni działacze? „Nie pracowaliście—powie społeczeństwo do przyszłych nauczycieli, lekarzy, obrońców—jak możecie odemnie żądać poparcia.“ Niech naprzyszłość redakcyja się zastanowi, czy wydrukowanie nieobmyślanego odezwania się, może przynieść korzyść, czy też zaszkodzić ogółowi.

Józef Szyf.

* * *

W Pradze Czeskiej jeszcze w roku zeszłym komitet, ustanowiony do budowy i urządzenia teatru narodowego ogłosił następujący konkurs:

1. 1666 zł. austr. (t. j. 100 rubli) za najlepszą tragiedyją, czerpaną z dziejów słowiańskich, a przedewszystkim czeskich.

2. 1000 zł. austr. za najlepszą komedyją, któraby wypełniła przedstawienie wieczorne, przy czym treść zależy zupełnie od woli autora.

3. 1000 zł. austr. za najlepszą operę dramatyczną.

4. 1000 zł. austr. za najlepszą operę komiczną, przy czym libretta do obu oper zostawiają się woli i staraniu kompozytora muzycznego.

5. 300 zł. austr. za każde libretto oper premijowanych.

Termin do 1 Stycznia 1874.

Jak widzimy, Czesi hojniej niż my zamierzają wynagradzać prace dramatyczne.

* * *

Kongres słowiańskich pedagogów odbędzie się w Wiedniu w dniach 26, 27 i 28 sierpnia b. r. Nie potrzebujemy się rozszerzać nad ważnością tego faktu, który może się stać podstawą stałych stosunków pomiędzy nauczycielami wszystkich szczepów słowiańskich. Jako prowizoryczna sekcyja kongresu są podpisani nauczyciele z Zagrzebia, Lublany, Białogrodu, Kartowic, Idryi, Pragi i innych miast słowiańskich.

---

dwa błędne na skraju widnokręgu światełka, dwa po powietrznej fali płynące żórawie, a z blasku świateł i biegu ptaków, złą lub dobrą przyszłość sobie wróży.

Powieściopisarka nasza odznacza się częstokroć siłą malarskiego ożywiania budynków, przedmiotów martwych i fauny domowej, której niekiedy, jak np. w powieści „Na dnie sumienia“, w najwyraźniejszym dyjalogu z ludźmi rozmawiać każe. Lubi też ona mieścić swe bohaterskie grupy w gabinetach o *półciemnym* horyzoncie, do których bardzo często, a zawsze w stosownej chwili wpuszcza złotawy promień wschodzącego lub zachodzącego słońca.

P. O. nie schodzi prawie nigdy w swych powieściach z raz obranego, ściśle przedmiotowego stanowiska i rzadko w roli starożytnego chóru wychyla się z objaśnieniem spoza narysowanej przez siebie postaci. Ożywionemu jednak tokowi opowiadania stawia ona często nieprzejrzystą zaporę w kształcie długiego monologu, zamienianego niekiedy w pozorny dyjalog przez wprowadzenie mistycznych figur anioła i demona...

Język, jakim p. O. do nas przemawia, jest wogóle czysty, wolny od cudzoziemskich naleciałości, z duszy płynący, i niekiedy szczerze poetycką powleczony barwą. Dyjalogi są czasami bardzo zajmujące i nieudanym dyszą dowcipem; tułają się jednak między niemi gawędy nudne, wodniste i do charakteru mówiących osób źle przystosowane. Na tę ostatnią wadę szwankują przedewszystkim rozmowy wprowadzonych do powieści specyjalistów i ludzi uczonych.

Zastosowany do szczupłych ram pisma zakres artykułu nie dozwala nam zastanawiać się dłużej nad szczegółami poglądowych myśli i artystycznych motywów p. Elizy. Mieliśmy już sposobność przekonać się, że na obranym polu spraw rodzinnych, dotyka ona psychologicznych, moralnych i wychowawczych kwestyj, że w poglądach swoich na życie jest *uczuciową racyjonalistką* i doradza przy pielęgnowaniu dobrych natchnień serca zupełny rozbrat ze czczą marą złudzeń, że nienawidzi cnotliwców, „pędzących żywot z założonemi na krzyż rękami“, że wreszcie w nieubłaganym łańcuchu przyczyn, kreśli przed okiem czytelnika zatrute owoce fałszywej metody wychowania dzieci w arystokratycznym i mieszczańskim kółku. Poza kresy rodzinnego bytu, na szersze, socyjalne szlaki wybiega ona w „Panu Grabie“, gdzie oprócz nurtujących z kastowym próżniactwem połączonych błędów, przedstawia we właściwym świetle, zarówno ze względu na osobiste szczęście, jak ze stanowiska ustaw i opinii publicznej, ważną a nierozwiązalną przy istniejących warunkach kwestyją *rozwodu*. Jako socyjalistka wystąpiła nakoniec p. Eliza w bieżącym roku z artykułem drukowanym w Niwie (od N-ru 25 do 31 włącznie) p. t. „O jednej z najpilniejszych potrzeb naszego społeczeństwa“. Okresliwszy na wstępie znaczenie darwinowej „walki o byt“ w granicach świata moralnego, przypomina, że dobro materyjalne jest pierwszą podwaliną naprzód umysłowego rozwoju, a potym cnoty i szczęścia społeczeństw, — wskazuje na zaniedbane ugory krajowego przemysłu, a powstając przeciw smutnemu hasłu znękanych gnuśników—„niéma pola do pracy!“—podnosi kwestyją założenia viribus unitis bezpłatnej szkoły technicznej. Myśli tu wygłoszone stanowią skromny szczyt rozwojowy socyjalistycznego wykształcenia naszej powieściopisarki, a jedyną wadą artykułu jest zatarta nieco poetycznym gadulstwem systematyczność, i niedostatek cyfr.

Zamykając nasze konturowe studyjum, wyznać musimy, że, jakkolwiek twórczość naszej powieściopisarki czasami omdlewa, kuleje niekiedy na powtarzanie pomysłów, na sztuczność układu i powiewność rysunku, to jednakże znakomite pisarskie przymioty, dobra wola i kierunek, w jakim się talent jej rozwija, czyni z niej już dzisiaj dzielną pracownicę w przybytku trzeźwych prawd i pożyteczną kapłankę pióra. *A. G. Bem.*

GAWĘDY T. T. JEŻA

V.

Choroba pewna szwajcarska.

Czytelnikom, co się na tym spostrzegli, żem przez czas dłuższy przerwał pisywanie artykułów, do „*Opiekuna*“ przepraszam i o przebaczenie proszę. Tym co się na tym nie spostrzegli, nie należy się odemnie nic, a że takich jest niezawodnie większość ogromna, przeto do ciągu dalszego przystępuję z czystym sumieniem.

Zamieszkując w Szwajcaryi, jestem mimowolnie postrzegaczem we względzie życia i bytowania tutejszego i znajduję, nie szukając, rzeczy różne. W ten sposób wpadła mi w oczy osobliwość jedna, zasługująca, jak mi się zdaje, na to, ażeby ją do publicznej podać wiadomości i słów kilka o niej powiedzieć. Nazwałem osobliwość tę „chorobą“, w sensie atoli nie literalnym, lecz w tym w jakim pospolicie bierze się skłonność wszelka, wyjątkowością nacechowana i silnie się objawiająca, bez względu na rezultaty do jakich ona prowadzi. Może to być skłonność jaknajchwalebniejsza; mogą być rezultaty jej najpożyteczniejsze; mianujemy ją jednakże chorobą, dla osobliwości, dla cech odrębnych, wyróżniających ją śród właściwości uznawanych za oznaki stanu normalnego.

Kiedy się przyjeżdża do kraju jakiego, jest zazwyczaj właściwość jedna, która wędrowca uderza od piérwszego spojrzenia, występując pod postacią idei przewodniej, któréj hołduje naród. Tu rzuca się w oczy handel, tam przemysł, owdzie rolnictwo, gdzieindziej religija, w innym znów miejscu wojna. Właściwości te, uznawane za symptomata stanu normalnego, nie wzbudzają podziwu i niktby ich chorobami nie nazwał. Belgii, naprzykład, niktby o chorobliwość nie posądził, tam bowiem uderzająca od piérwszego spojrzenia właściwość, wyraża się i pod postacią robotników pijanych i księży na ulicach i placach publicznych brewijarze czytających. W Anglii nędza skandaliczna, służąca za piedestał bogactwom skandalicznym, daje wyobrażenie o potężne spekulacyi, wchodzącej do kategoryi oznak stanu normalnego. We Francyi uderza arcykapłańska powaga policyi, w Niemczech pycha podporuczników, w Szwajcaryi—co właśnie uważamy za osobliwość, za skłonność odrębną, szczególną, oryginalną, za coś takiego co się gdzieindziej nie spotyka, i dlatego jak choroba razi—w Szwajcaryi znajdujemy.... kult dzieci.

W Szwajcaryi znajdujemy,... kult dzieci— powtarzam, a powtarzam to, raz dlatego, żeby usprawiedliwić tytuł niniejszego artykułu, powtóre dla tego, żeby czytelnikowi wrazić w uwagę postrzeżenia na uwagę zasługujące. Jak w krajach innych stany pewne i klasy społeczne posiadają przywileje i prerogatywy, z racyj których otacza je szacunek publiczny, tak w Szwajcaryi przywileje i prerogatywy posiada wiek dziecinny; jak w krajach innych wydaje się, jakoby racyja cała bytowania społecznego odnosiła się do swiecącej na czele idei przewodniej, znajdującej wyraz swój w spekulacyi, w religii, w wojnie etc., tak w Szwajcaryi ideja owa rzuca się w oczy pod postacią.... dziecka. Dziecko stanowi tu jakoby punkt ogniskowy bytowania państwowego. Szwajcaryja—zdaje się istnieje nie dla czego innego, nie dla żadnego celu polityczno-dziejowego, tylko dla... dzieci, stanowiących przedmiot główny troskliwości prywatnej i publicznej. Dzieci stoją tu na piérwszym planie. Wszystko co się robi—robi się, jeżeli nie dla nich, to z uwagą, ze względem na nich.

— Czemu się pan ze Szwajcaryi wynosisz?.,. — zapytywano obywatela pewnego, który osiadł był w ojczyźnie Tella z zamiarem mieszkania w niej do śmierci, i nie wytrzymał jak rok tylko.

— Bom się znudził... Bo tu piérwszeństwo dają dzieciom... Gdzie przyjdę, wszędzie dzieci, wszystko dla dzieci... Rozmowy innej nie usłyszysz, tylko o dzieciach...

Po miastach, po miasteczkach, po wsiach spotykać się zdarza jakieś mostki, jakieś schodki, jakieś ocienione aleje i place, mające pozór zagadkowy pod względem użytku praktycznego, jako komunikacyja wewnętrzna. Zapytujesz, coby to znaczyć miało.

— A to dla dzieci!... Tędy one do szkoły chodzą, więc rzucono mostek i wykuto schody, ażeby im drogę skrócić; tędy zaś na zabawy biegają, więc zasadzono drzewa rosochate, ażeby cień miały w porze upałów.

Gdzieindziej myślenie o wygodach i przyjemnościach dziecinnych stanowi zadanie rodziców, którzy też zajmują się niemi, ale wyłącznie względem potomstwa własnego. W Szwajcaryi zajmuje się tym gmina. Jestto przedmiot jeden z najważniejszych, który stoi nieustannie na porządku dziennym, jeżeli nie jako przedmiot toczących się obrad, to w myślach radców, w postaci ogniskowego punktu zadań wszelkich, administracyjnych, finansowych, społecznych, politycznych, etc., które mu się podporządkowują. Punkt ten ma piérwszeństwo, zapewnione raz na zawsze. Do niego regulują się wszystkie kwestyje, dotyczące potrzeb najważniejszych.

— Wy jednakże zanadto się dziećmi zajmujecie... — pozwoliłem raz sobie uczynić uwagę radcy pewnemu w rozmowie o kwestyjach politycznych.

— Czynimy to—odpowiedział mi ów radca —dlatego, że jeżeli dzieciom naszym dobre damy wychowanie, to one lepiej aniżeli my kwestyje te rozwiążą...

Nie choroba-ż to, podobne spraw publicznych pojmowanie!...

Słusznie przeto nazwałem chorobą to, czego, we włóczędze mojej po świecie, nigdzie nie widziałem. Szwajcaryja, pod względem tym, jak oaza w Europie wygląda. Kult dzieci stanowi tu osobliwość, godną oglądania, zaiste! osobliwość, która, zdaniem mojim, szczególniejszą jest, aniżeli Rigi, Interlaken, reński wodospad i wszystkie razem widoki alpejskie. Jest ona bowiem nie bezwiedna, nie w nieświadomości poczęta. Szwajcaryja na seryjo wzięła potrzebę oświaty powszechnej. W tym tkwi racyja kultu dzieci:—co łatwo zrozumieć i dowieść, zwracając uwagę na to, że materyjałem, za pomocą którego oświata się urabia, jest nie pokolenie dojrzałe, ale podrastające, dojrzewające.

Wszędzie potrzeba oświaty jest uznaną, ale nie wszędzie, jak należy, zrozumianą. Kto ją uznaje?—ten co sam oświecon jest; uznaje i powiada sobie: „Ponieważ oświecony jestem ja, więc jestto już korzyść dla społeczeństwa niemała, i jeżeli chodzi społeczeństwom o jeszcze większą, to niech się o takową stara.” Powiedziawszy to, staje na stronie i przypatruje się z założonemi rękami społeczeństwu z boku. Że jednak społeczeństwo z jednostek się składa, łatwo więc zrozumieć, że, gdy wszystkie uznające po-

trzeby oświaty jednostki, rolę widzów odgrywają, sprawa oświaty nie wiele na tym wygrywa. W Galicyi naprzykład—o Galicyi wspominam dlatego jedynie, żeby za przykładami daleko nie chodzić—przez lat dwadzieścia cztery potrzebę oświaty uznawano i przez lat dwadzieścia cztery na brak takowej utyskiwano, nie czyniąc dla niej nic zgoła, pomimo że, ściśle rzeczy biorąc, Galicyjanie nic innego do czynienia nie mieli. Szwajcarowie inną poszli drogą. Jak skoro potrzeba oświaty uznaną została, wnet każdy obowiązanym się uczuł coś dla niej uczynić, wnet wszyscy uznający poły zakasali i do roboty się wzięli. Najbliższym roboty tej owocem były szkoły i szkółki. Lecz na tym nie koniec. Ci sami, co potrzebę oświaty uznawali, otoczyli szkoły i szkółki opieką pieczołowitą, pomocą czynną i kontrolą surową. Stąd wyrodził się kult dzieci: poznano bowiem i uznano, że zakłady naukowe istnieć powinny nie dla wygody nauczycieli, lecz dla korzyści uczącego się pokolenia—dalej-że pokolenie to wyróżniać, przywilejować, w prerogatywy zaopatrywać, i na piérwsze miejsce wyprowadzać. Pestalozzi nie zjawił się przypadkowo. Wydał go narodowy gienijusz szwajcarski, który się w pedagogicznym wyraża kierunku. Każdy niemal szwajcar jest trochę Pestalozzim, każdy ma, że się tak wyrażę, żyłkę nauczycielską i jeżeli nie naucza, to jedynie dzięki okolicznościom przeciwnym, które, albo jeszcze samemu douczyć się nie dozwoliły, albo też wytknęły mu drogę przeszkadzającą powołaniu nauczycielskiemu. To sprawia, że stan nauczycielski cieszy się poważaniem powszechnym, zadowalniającym tych co się zawodowi temu - tak gdzieindziej dla braku właśnie poważania ciernistemu—oddają. Z tego ogromna wynika korzyść. Nauczycielstwo ma ponętę. Garną się do niego nie sami tylko tacy, którzy na drodze innej karyjery powodzenia się nie spodziewają; garnie się do niego liczba wielka, co ułatwia wybór i ten daje rezultat, że Szwajcaryja i dla siebie ma poddostatkiem nauczycieli dobrych i świat niemi obdziela.

Co też z tego kraiku małego rozchodzi się na wszystkie strony guwernerów i guwernantek! Ktoś powinienby statystycznie to obrachować, bo to także artykuł wywozowy, jak zegarki, a nie małoważny tak pod względem cywilizacyjnych piérwiastków, które Szwajcaryja z siebie wydziela, jako też pod względem korzysci materyjalnych, jakie tą drogą na kraj spływają. Nie mało fortun tutejszych początek swój guwernerce zawdzięcza. Wspominam o tym nawiasowo i wracam do głównego „gawędy" niniejszej przedmiotu—do kultu dzieci.

Powiedział ktoś, że głównym, ogólnym ludzkości zadaniem jest postęp, że postęp jest zarazem prawem i obowiązkiem, że przestrzeganie tego prawa i obowiązku tego stanowi właściwość, wyróżniającą człowieka śród stworzeń i podnoszącą go nad takowe. Cóż może przestrzegania owego lepiej, dokładniej i pewniej dokonywać, jak troskliwość o młode pokolenie? Cóż może zadaniu postępu ściślej odpowiadać, jak troskliwość o młode pokolenie? Szwajcarowie to pojęli i pojęcie do praktycznego życia zastosowali. Zaprawdę, pod względem tym zasługują oni na naśladowanie jak najszczerszej i jak największe, bez względu na cokolwiekbądź, a mianowicie na wymówkę, odnoszącą się do ducha narodowego. Duch narodowy, nic tu do czynienia niéma. I w Szwajcaryi nie zawsze tak było. Kult dzieci urobił się w niej w skutek pojęcia i uznania potrzeby oświaty, jako potęgi, poczutej najprzód, wyrozumowanej następnie. Rozumowanie naturalnie odnosić się musiało do dzieci, które się przedstawiły, jako najwdzięczniejsza do siania światła niwa, a zarazem, jako najpewniejsza potęgi rękojmia. Poczęto więc niwę tę uprawiać, z całą na jaką ona zasługuje pieczołowitością; odwołano się do rękojmi z temi względami, jakie się takowej należą:—i, co stąd wynikło, pieczołowitością a względami ogarnięto dzieci wszystkie bez różnicy i wyjątkowań żadnych. Pod względem tym zrobiłem postrzeżenie jedno ciekawe. Każda osada szwajcarska jest, niby zakład naukowy, w którym mieszkaniec każdy uważa się za członka personalu szkolnego, obowiązanego do czuwania nad dziećmi, swojemi i nieswojemi. W ten sposób wytwarza się pewien rodzaj atmosfery moralnej, która, otaczając człowieka od kolebki, szczepi w duszy jego moralność naturalną, źródłową, wynikającą z charakteru uspołecznienia ludzkiego, a gruntowana przez brak złych przykładów, wystawianych gdzieindziej na widok publiczny. Formułki, obiecanki i postrachy moralności nakazywanej stają się przez to rzeczą dodatkową, zbytkową, że tak powiem. Dziecko, gdzie okiem rzuci, wszędzie widzi skromność, przyzwoitość, pracę; gdzie się obróci, wszędzie czuwa nad nim dozór starszych płci obojej; w domu i na ulicy, w szkole i w polu, czuje się, jakby w gronie rodziny, która je miłością otacza i której członkami są rodzice jego właśni. Cóż z tego wynika? Dziecko za miłość miłością odpłaca; z punktu tego mimowiednie wyprowadza umoralnienie swoje, i z postępem lat potęguje w sobie miłość rodzinną, względem spółziomków swoich, względem kraju swego, względem ojczyzny swojej szwajcarskiej.... takiej ubogiej a takiej bogatej, takiej słabej, a takiej potężnej.

Oto rezultaty, jakie daje choroba szwajcarska.

Zachorujcież i wy na nią, czytelnicy łaskawi!...

Z NAD BRZEGÓW SEKWANY.

(Dokończenie).

Francuz kiedy sprzyja to szczerze, kiedy nienawidzi to duszą całą, ale jest nielitośnym i zapalonym w gniewie, wandalem cywilizowanym. Najlepszym tego dowodem wszystko co do byłego Cesarza należało. Kto chce zobaczyć ruinę i zniszczenie, niechaj siądzie na statek parowy kursujący po Sekwanie, i uda się z biegiem tej rzeki do St. Cloud — pięknego bardzo ustronia, gdzie chętnie przebywał ś. p. Napoleon III. Jeżeli Hôtel de Ville, Tuilleries, ministeryjum finansów, i t. d. smutnie świadczą o niesfornej swawoli ulicznego motłochu, pałacyk w St. Cloud ucierpiał najwięcej. Niepodobna rozpoznać z tego rumowiska, co tu niegdyś było; tylko kawałki nienaruszonych ścian pokrytych suto złoconym malowidłem i sztukateryjami, szczątki posadzek i ocalały fronton z kolumnami świadczą: że przepych cesarski gościł ongi w tym miejscu.

Prusacy i komuna przyłożyli rękę do tego dzieła. Obok napisów niemieckich, widzimy tu i owdzie wykrzykniki: „Mort aux voleurs!" vive la Commune!, a gdzieniegdzie są wierszyki okolicznościowe. Do ogrodu obok pałacu wejście wzbronione, — można tylko za pewną opłatą wejść na taras wyniesiony na stóp kilkadziesiąt. Kilka posągów kamiennych i altanka niegdyś bardzo ozdobna uniknęły zagłady, choć wszystko mniej lub więcej uszkodzone.

Na pochyłości wzgórza zasadzone klomby i kwiaty, dalej szczątki oranżeryi.... drogi i scieżki zarosłe trawą. Tak to w krótkim czasie zmienia się wszystko... Vanitas vanitatis!

Naprzeciwko pałacyku, przeszedłszy dziedziniec, wstępujemy na dość rozległy płaski trawnik, poza którym wznosi się wzgórze również gęstą trawą porosłe. Po jednej i drugiej stronie piękny park angielski, ale utrzymany w stanie dzikości. Z wierzchołka płaskiego wzgórza widać w dole koryto Sekwany, widać forty i lasek buloński. Ponad brzegiem rzeki długie i szerokie aleje, dalej kilkadziesiąt domków mniejszych i większych, kramy, stragany, i gromadka robotników krzątających się około przygotowań do zabawy ludowej. Nasz Ujazdów podczas świąt Wielkiej Nocy, jest tylko słabym odbiciem tego gwaru i niczym nie krępowanej wesołości, jaka towarzyszy zabawom francuskiej klasy robotniczej. Ileż tam hecarzy przemawia do zgromadzonych tłumów zalecając swe wysokie zdolności, jakie ogłoszenia i jakie afisze!....

Wół mający rękę ludzką wyrosłą z boku, człowiek z rybią głową, dziecko o sześciu nogach, zupełnie do nadzwyczajności nie należą. Publiczność cierpliwie słucha opowieści o cudach niesłychanych, a jeżeli autor jest dowcipnym, zadowolnienie i radość maluje się na twarzach słuchaczów, i kasa zapełnia się przyzwoicie.

Zabawiwszy parę godzin w St. Cloud, można zobaczyć wszystko, co zasługuje na uwagę. Nie tracąc przeto czasu wracajmy aby przejść lasek buloński.

Wieści o zburzeniu ulubionego miejsca świątecznych wycieczek były przesadzone. Niewielki kawałek wyciętych drzew, obecnie porosły gęstą krzewiną, ot i cała szkoda jaką sprawiło oblężenie. Gdyby lasek buloński niebył pod Paryżem, niktby o nim nie wspomniał, bo czyż zwykły gaik dębowy ani wielkich i pięknych drzew ani uroczego położenia nie mający, na tak wielką uwagę zasługuje? Całą ozdobę stanowią piękne jeziora i kaskady. Wysepka zarosła kępą drzew z pięknym kijoskiem chińskim na skalistym wyniesieniu—szerokie aleje i chodniki ot i wszystko. W godzinach poobiednich sznur powozów przebiega ulice, w nich rozparta krema towarzystwa, używa świeżego powietrza, nabiera apetytu. W dnie świąteczne wyścigi konne zwabiają połowę ludności Paryża do lasku.

Trudno się przecisnąć przez tłum powracających—Pola Elizejskie roją się, wszystkie ławki i krzesełka zajęte przez widzów. A kiedy zmrok zapadnie, kiedy z licznych teatrzyków letnich, dolatuje echo wesołej śpiewki, kiedy koncert pól elizejskich harmonijnemi dźwięki pieści echo, wtenczas te pola błyszczące setką tysięcy świateł, są zaprawdę pięknym ustroniem, jakie tylko Paryż posiada. Szumią wyniosłe drzewa, promienią ogniki rewerberów, jak daleko okiem zajrzeć wszędzie światła, światła i światła.

A dalej w półcieniu szarzeje Paryż, wielki, potężny, stolica świata.... Na bulwarach jasno jak w dzień biały, snują się tłumy przechodniów, inni znów zajęli miejsca pod wystawami kawiarni. W powozach przemykają królowe półświatka, na ławeczkach w półcieniu szepce w ucho loretka kłamliwe ponętne słówka.... śmiechy, żarty wesołość nad Sekwaną. Szczęśliwi ludzie, czy śmiech ten zawsze towarzyszyć im będzie.... to pytanie które chyba przyszłość rozstrzygnie.

Czy wyjdą z zaklętego koła rosterek i waśni, czy spotężnieją i wyszlachetnieją ich dusze w ogniu próbnym, czy ich upokorzenie i nieszczęścia nauczą patrzeć jaśniej w przyszłość, postępować oględniej wobec warunków teraźniejszości. Wiele, bardzo wiele cech wspólnych posiadają francuzi i nasze społeczeństwo. Może dlatego żywimy dla nich sympatyją, może wspomnienie chwil kiedy Francyja była bezwątpienia wielką, potężną, szlachetną, kiedy niosła chorągiew na której

jaśniały godła postępu i swobody, może to wspomnienie jedna dla niej serca drugich, i wiąże nicią sympatyi.

Opuściwszy granice tego kraju, czuje się dopiero całą jego szczęśliwość, żałuje i tęskni za tą niczym niezakłóconą swobodą myśli, humorem, za tym poczuciem równości obywatelskiej, i uszanowaniem godności cudzej.

Niemcy i Francyja to dwa krańce, dwie sprzeczności. Berlin i Paryż dwa przeciwieństwa. Kiedy przebywasz pośród tych lekkomyślnych i kłótliwych franków bluźnisz im i krytykujesz srogo. Ale wyjedź nad Ren lub Spreę, w momentinne stokroć przykrzejsze owionie cię uczucie. Buta, zarozumiałość, wyzyskiwanie i egoizm na każdym kroku ot i społeczeństwo niemieckie. Są silni, pracowici, zabiegliwi, oszczędni, mają nauki wiele, ale kiedy o interes chodzi, wszystkie środki są dla nich godziwe.

Duszno pośród tych ludzi, czujesz, że pierś twoję krępują popręgi ustroju społecznego, który wszystko ujął w żelazne objęcia.

Niemiec umie się poruszać, umie żyć w tych więzach: numer i rubryka to jego atmosfera życiowa, wprzężony do fabrycznego manężu, cały dzień stąpa i kroczy naprzód. Zimny, nieużyty, hołduje głosowi rozumu, każe milczeć sercu. Nic go nieobchodzi dola cudza, aby jemu było dobrze, aby Vaterland był potężny, a pieniędzy i piwa było dosyć. Nie dziw przeto, że nie można go kochać, że nie można z nim sympatyzować; przeto zawsze Francyja ciągnąć do siebie będzie serca ludów.



J. Sieczenow, Odruchy, przekład *Ksawerego Budnego*. Warszawa 1873, nakł. redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“.

Nerw czucia, będąc podrażnionym, przelewa wrażenie swoje na nerw ruchu za pośrednictwem, jak przypuszczają, komórek nerwowych znajdujących się w t. z. *ośrodku* (mózgowiu lub rdzeniu pacierzowym). Nerw ruchu jest kierownikiem poruszeń mięśni — wypadkiem zatym jego podrażnienia będzie skurcz odpowiedniego mięśnia albo grupy mięśni. Zjawisko działalności nerwów ruchu, w skutek pobudzenia nerwów czucia, znane pod nazwą *odruchu*, jest ruchem bezwiednym, mimowolnym, gdyż wola zwierzęcia nietylko, że nie wywołuje go, ale nawet nie we wszystkich wypadkach powstrzymać go może. Na drodze badania odruchów fizyjologija zdobyła już wiele bardzo ważnych danych, w przyszłości zaś obfitszych jeszcze oczekuje plonów. Pan J. Sieczenow, uprzedzając te „szczęśliwe czasy“ kiedy to uczeni „będą w stanie z takąż łatwością analizować zewnętrzne objawy działalności mózgu, jak fizyk dziś... oblicza zjawiska spadającego ciała“— wszelką działalność człowieka sprowadza do samych tylko odruchów. Łatwo spostrzedz, mówi on we wstępie, że „wszelkie objawy działalności mózgu mogą być ostatecznie sprowadzone do ruchu mięśni“ a dalej na str. 169 — 174 dowodzi jak na dłoni, że *wszystkie* ruchy w gruncie rzeczy są odruchami tylko. W odruchu każdym trzy możem odróżnić momenty: pobudzenie nerwu czucia trwanie otrzymanego wrażenia, pobudzenie nerwu ruchu. Zależnie od napięcia pierwszego i ostatniego z tych momentów, odruchy bywają z zakończeniem uciętym, t. j. mięsień nie wykonywa odpowiedniego poruszenia— zjawisko przedstawia się wtedy jako myśl, wspomnienia i t. d.; w przeciwnym razie, gdy zakończenie jest spotęgowane, odruch przedstawia cechy namiętności, przestrachu podziwu i t. d. Uczony rosyjanin przeprowadzając konsekwentnie swoje poglądy, oburza się na tych, co myśl za matkę czynu uważają. Tylko bezpośrednie wrażezmysłowe może wywołać czyn, bo wszakże czyn niczym innym nie jest, jak poruszeniem mięśni, odruchem. Ażeby dać próbkę rozumowania p. S., przytoczę objaśnienie takiego np. zjawiska jak miłość ludzkości: Rocznemu dziecięciu podoba się bardzo jaskrawo pomalowana zabawka, bo pobudzając silnie jego nerw wzrokowy, skłania je do odruchów ze spotęgowanym zakończeniem. Gdy dziecię podrośnie, ta namiętność jego z jaskrawego cacka przejdzie na rycerzy o płaszczach czerwonych, — na mocy niewiem jakiego odruchu wyobrazi ono sobie, że samo jest takim rycerzem i siebie, ma się rozumieć w fikcyjnej tej postaci tym mocniej ukocha. Wtedy naturalnie przyłącza się do tego pewna doza donkichoteryi— i aniśmy spostrzegli że mamy już gotowego filantropa.

Zaznajomiwszy czytelników z treścią dziełka p. t. „Odruchy“—sąd o nim pozostawiam im samym. Nie jest ono zresztą przeznaczone dla szerszej publiki, gdyż bez zasadniczych wiadomości z anatomii i fizyjologii zwierząt czytać się nie daje. *B. Z.*

ROZMAITOŚCI.

W Poznaniu wyszło trzecie z licznemi rycinami wydanie „*Dziejów narodu polskiego dla ludu i młodzieży* p. Józefa Chociszewskiego.

Nakładem księgarni Aleks. Nowoleckiego w Krakowie wyszła w ozdobnym wydaniu tragedyja Adama Asnyka (Elego) „**Cola Rienzi** z wielkim powodzeniem grana już w Krakowie. W Krakowie wychodzi w dalszym ciągu *Biblijoteka dla młodzieży* pod kierunkiem Konstantego Wojciechowskiego.

* * *

Powieść Zacharysiewicza „Chleb bez soli“ drukuje w czeskim przekładzie dziennik „Pokrok“ (Postęp).

* * *

W dniu 26 m., hrabia B o b r y ń s k i, minister komunikacyj, zwiedził fabrykę żelazną pana Woroncowa - Weljaminowa w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej. Pomiędzy innemi wyrobami w fabryce, okazaną została nowa żniwiarka „Warszawianka“ pomysłu p. Grubińskiego. Pan minister wyraził żądanie obejrzania nowej machiny w działaniu. Zadość czyniąc temu żądaniu w poniedziałek o godz. 10 w obecnoći jego oraz kilku innych osób wykonana została na placu Mokotowskim w posessyi p. Witkowskiego próba na pszenicy wyległej i powikłanej. Machina zerżnęła pół morga w przeciągu 9-minut, składając pożęte zboże równo i dokładnie, ścierń pozostała niska. Hr. Bobryński zamówił dla siebie jeden egzemplarz tej pożytecznej machiny na przyszłe żniwa; za tym przykładem poszło kilka obecnych przy próbie osób.

* * *

Dr. H. **Zeissberg**, zajmujący się pilnie historyją polską, (znana mianowicie jego rozprawa o *Kadłubku* wydana przed parą laty), ogłosił obecnie w Wiedniu (u Gerold's Sohn) starą kronikę p. n: „*Johannis de Komorowo tractatus cronice fratrum minorum observancie*“ Błędy ortograficzne w łacienie są, jak wiadomo, w kronikach średniowiecznych nader pospolite, to też i w tytule powyższym ich nie brak.

* * *

G. *Witkowski* wydał w Paryżu: „Notions d'anatomie et de physiologie humaine“ (z atlasem). Cena 5 fr.

* * *

Mają się wkrótce ukazać trzy obszerne poemaTy *Teofila Lenartowicza*: 1) *Wanda*, mająca być obrazem walki Słowian z Niemcami napisany jeszcze w r. 1865; 2) *O założeniu Poznania*; 3) *Biały Bóg*. „Wszystkie te rzeczy, jak powiada sam poeta, pisane są gminnym językiem i formą ludowej dumy, podobnej, jeśli można naśladować, do pieśni o pułku Igora.“

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Wil. w Tyflisie. Nr. 21 i 26 powtórnie wysyłamy; Nr. 1 wyczerpany, adres zmieniony, raz na miesiąc wysyłać nie można.

J. Toczy... w Władysławowie. Fizyka została wysłaną.

P. *Kow. w Niemirowie.* Historyja literatury pol. wysłaną została przez księgarnią Glüksberga.

Sprostowanie. W n. 34, w artykule „Nasi powieściopisarze“ str. 270, łam 1-szy wiersz 18—zamiast *powierności*, czytaj: *powiewności*.

☛ Dodatek książkowy dołączymy do przyszłego numeru.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.